

**Magiczne Koło.**

Poomacku wchodzi na schody. Właściwie to curiosum! Wieczorem — sama jedna — do mieszkania obcego, samotnie żyjącego swawolnika. Hm, obcy? Zapewne, ale swawolnik? Ociemniały filozof z apostołską brodą, on — swawolnik?

Teraz Gitta stoi przed grubo ciosanymi drzwiami. Rozum ostrzega bezustannie: Rzeczywiście: dom stoi na uboczu, mężczyzna jest w danej chwili sam, wszyscy bowiem ze wsi i zamku podążyli na pogrzeb ś. p. proboszcza. Ba, to ją właśnie kociło, żeby dziś, właśnie dziś, pustelnika odwiedzić. Z litości — boć, bądź co bądź, ślepy. Z ciekawości — gdyż uchodzi za oogacza. Dla figla — bo ciotka Polda gniewałaby się.

Stoi o drzwi wsparta. Otóż masz! — serce jej musiało bić bardzo głośno: ktoś drzwi otwiera.

— To pani, hrabianko? — rozlega się tenorowy głos Auera o ciemności.

— Tak, ja. Chciałam pana odwiedzić. A może przeszkadzam?

— Ależ proszę! Wcale nie. Czytałam właśnie. Ale teraz zapalę światło.

Wnet płomyki świec oświetlają pokój o grudniowej temperaturze. Olbrzymi stół panuje nad innymi meblami.

— Już! Niechże pani siada! Nie zdejmując okrycia! To jest to palto z wytłaczanej materji z oposowem obszyciem, nieprawdaż? Słyszę, że pani skinęła główką. Kiedyś panią dotknąłem.

Przygląda mu się bacznie. Broda co prawda zbyt szpecinowata, a nos trochę zadarty, ale za to czoło nad ciemnymi blizniaczkami szklami tchnie szlachetną wyższością.

Auer mówi o przyczynie swego nieśczęścia. Z ust mu się wyrzywa imię „Lili“. Coś, jak skarga czy przekleństwo w głosie. W wyobraźni Gitty majaczy mglista postać wyzywająco pięknej, egoistycznej kobiety.

Lecz gościnny Auer śpieszy zmienić niewesoły temat. Mówi, bezustannie, zeskakując z przedmiotu na przedmiot, aż wreszcie kończy smutnie:

— Mówię bez przerwy, bo właściwie obawiam się paury, któraby pani wykorzystała, aby odejść sobie!

Gitta uspakaja go. Nie śpieszy się. Tyle zgiełku dla jednego nieboszczyka! Obejdzie się tam bez niej. Chętnie dłużej tu zostanie, ale musi jej za to powiedzieć, co ten hieroglif na stole znaczy? Aha! Reliefowa mapa środkowej Europy! Auer sam ją zrobił z kartonu i wosku. Objaśnia Gittę z zapalem. Każde jej oddzielne miejscowości wyszukują i nie posiada się z radości, kiedy ona o jaką kopę mił się omyli. Chwyta ją za rękę. Obłudnik! Udaje, że chce Gittę pouczyć. Gitta odpycha jego dłoń.

— Nie mogę się pani odwiedzinom dość nadziwić — mówi niezręcznie Auer. Jest bowiem zmieszany.

— Czy pani często robi takie eskapady? Chciałem się właściwie dowiedzieć, czy pani lubi wybryki, hrabianko?

— Nie powinnam była przychodzić — myśli Gitta.

— Gdyż, Bogiem a prawdą powiedziawszy — brnie Auer dalej — jest to przecież ryzyko, czym hazardowny, nieprawdaż?

— Hm, niezdar! — Gitta wymyśla mu w duchu. Głośno zaś mówi:

— Panie Auer, któżby się mógł pana obawiać!

Żle zrobiła, kładąc nacisk na słowo „pana“. Auer bowiem podchwycił natychmiast:

— Dlatego, że jestem ślepy?

Nastaje pauza. zbyt długa! Gitta nie może znaleźć odpowiedzi. Auer wybucha szorstkim śmiechem. Nagle odzywa się poważnie i despotycznie:

— Zabawmy się w ślepa babkę. Pani skończyła już dwadzieścia lat?

— Oczywiście, panie Auer. Osobliwy z pana człowiek!

Nie! Teraz zaczyna być nieznosny! Zakradł się do drzwi, zamknął je na klucz, wyjął klucz z zamku i do kieszeni wkłada.

Gitta, opierając się łokciami o reliefową mapę:

— Oryginał z pana, panie Auer!

Auer milczy. Gitta patrzy: kraj na którym trzyma łokcie, to Polska. Śmieje się nerwowo. Auer powoli zbliża się do niej. Cień jego głowy pada na Lombardję. Gitta cofa się. Auer idzie za nią. Poczem staje, wietrzac.

— Pan mnie nie złapie! — żartuje Gitta dreszcz ją przejmując.

Auer biegnie ku niej. Gonia ją. Prawie, że ją dopędził. Gitta wymyka mu się. Znowu o mało mu w ręce nie wpadła. I tak w kółko. Zderzenie. Ucieczka. Zwrot uderzeń.

Teraz goni ją w krag, ciagle w krag. Palcem gasi światło. Na dnie jej przestachu tleje ciche pragnienie. Dusi się nie-

mal w ciemności. Och, jego obuwie skrzypi tuż, tuż, tuż. Słyszcy jego przyspieszony oddech. Wymyka się. On zbliża się z drugiej strony. Nie, z pierwszej! Z obu jednocześnie! Trwoga ją przejmując. Drży o swe dziewictwo. To jej dodaje siły. Całym ciałem wywraca stół, barykadując Auera. Wyskakuje przez okno, rękami trzyma się ramy. Pokrzwawiła sobie o drzewo dłoń. Odwraca głowę; mierzy odległość do śnieżnego wału nagromadzonego pod oknem. Podnosi czoło. Auer stoi nad nią. Ich twarze stykają się niemal. Gitta chce grozić. Jego broda kluje ją w twarz. Z krzykiem puszcza ramę i pada w niebieskawo-białym śnieżnym puch.

Wydobywa się zeń. Dotyka członków. Całe. Uczucie triumfu ją ogarnia. W dali brzmi muzyka.

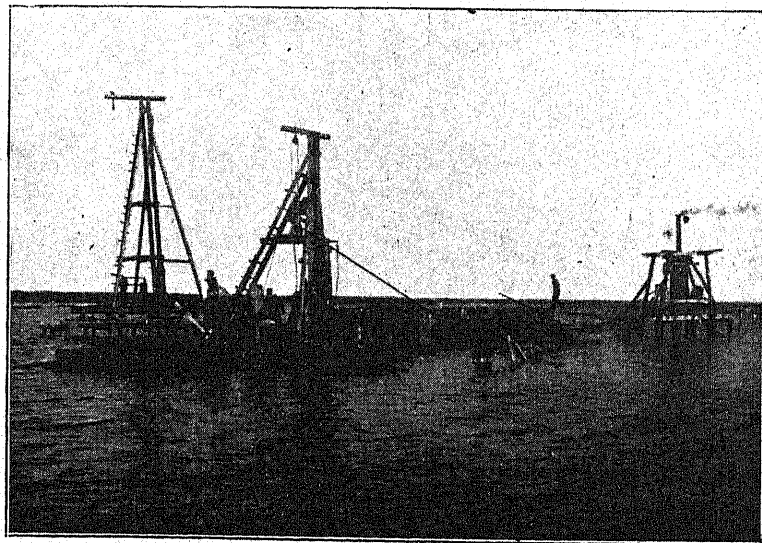
— Hurra, hurra! — wtóruje jej oswojona.

Księżyc z za gór wygląda. Wieś cicho usypia, w miękkim śniegowym całun spowita. Srebrną poświata muska jodły na zboczach górskich. Bezkresny czar krajobrazu... Gitta nie wie, co się z nią dzieje, bo nagle dobry jej humor prysł. Triumf przygasł. Litość jego miejsce zajęła. Czyż tylko litość, współczucie? Z powodu Lili oślepi! Świat dlań niewidzialny... na zawsze! Niepojęte! Czy można żyć bez światła w oczach? Tyle życia, temperamentu, ognia w cieniach nocy!

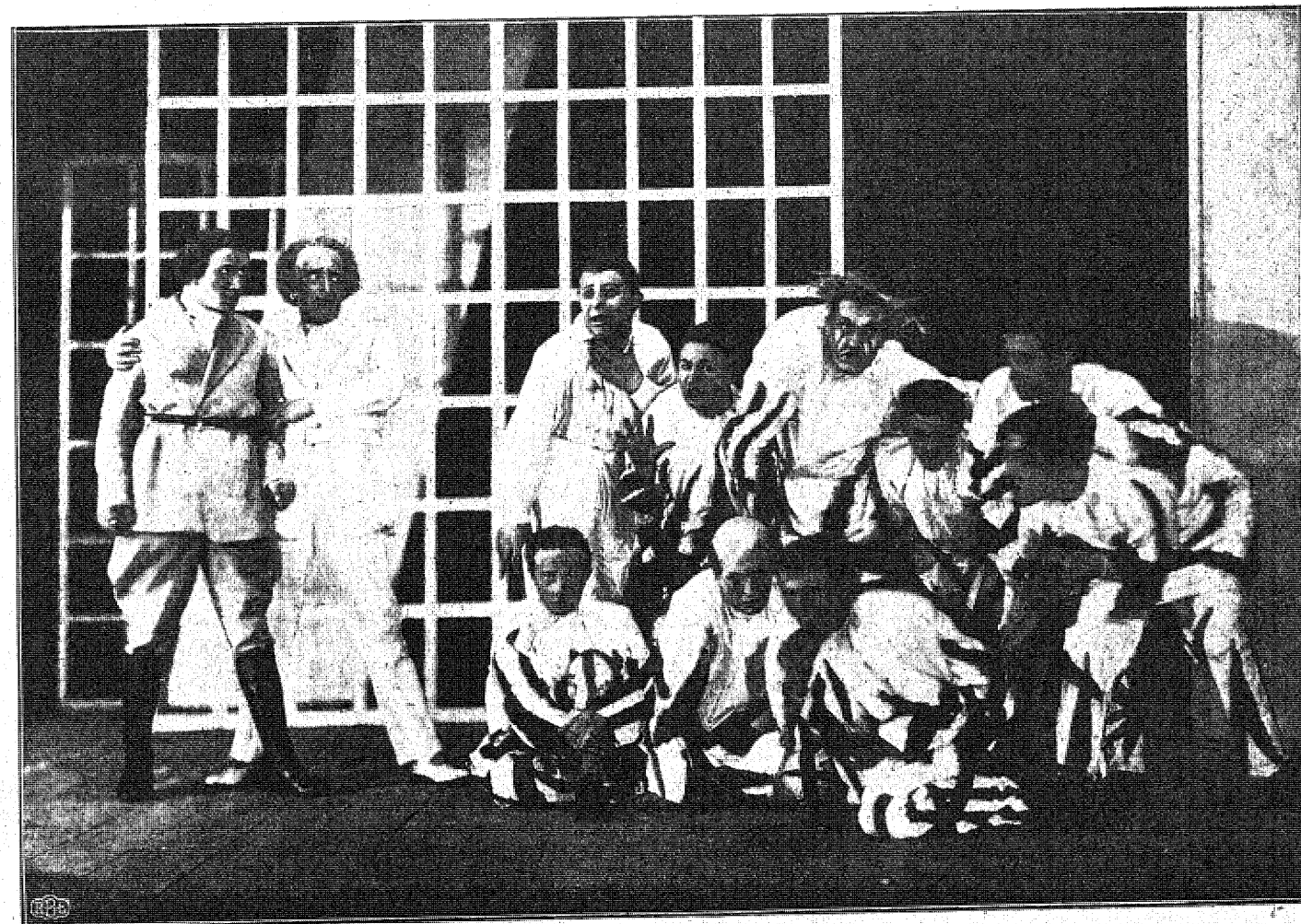
Dzielny mężczyzna! Jak on to kalectwo mężnie znosi! A szczęście w postaci Gitty, co się doń na chwilę zbliżyło — pierzchno... Szczęście, które należy mu się, a którego nie ma... przez okno wyskoczyło, jak nierozważne, płochę ptaszko...

Gitta poomacku wchodzi na schody. Na dnie jej cichego pragnienia czai się groza... Stoi o drzwi wsparta... Otóż masz! Serce jej musiało bić bardzo głośno... Ktoś drzwi otwiera...

Tłum. Jotsaw.



Port rybacki w Jastarni.

**„Peer Gynt” w Teatrze Miejskim.**

W dniu 24 ub. mies. Teatr Miejski w Łodzi wystąpił z niecodziennym widowiskiem, pełnym barw i światła, prowadzącym widza poprzez nadziemską krainę fantazji do twardego realizmu życia — poematem dramatycznym p. t. „Peer Gynt” — Henryka Ibsena.

Na zdjęciu powyższem widzimy niesamowitą scenę z obrazu 8-go — dom warjatów oraz Peer Gynta odwiedzającego pacjentów w towarzystwie doktora zakładu.



## TEATRALIA.

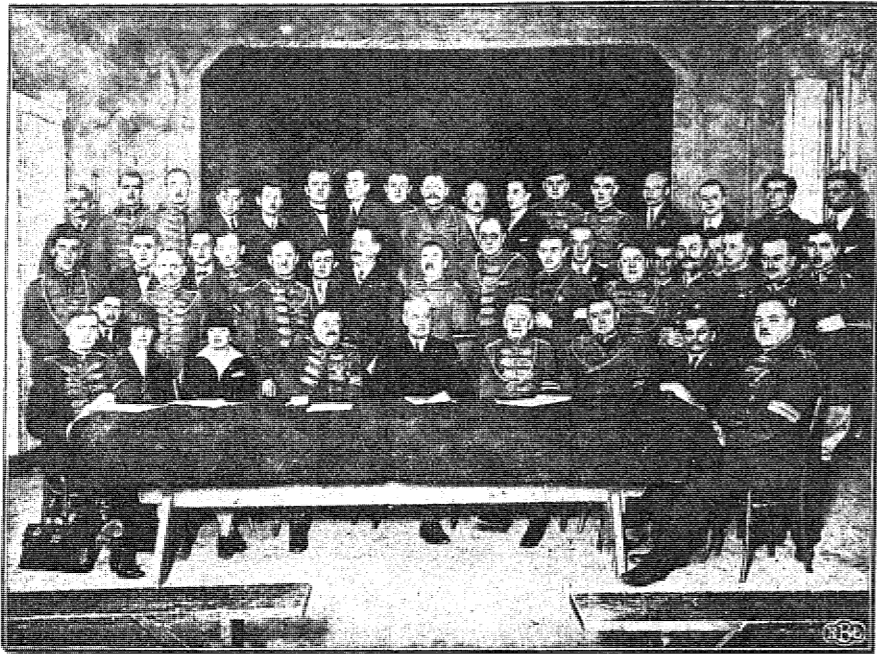
Ożywienie ruchu teatralnego. — Walka z deficytem. — Nasi zagranicą. — Trochę o teatrze hiszpańskim.

Byłoby rzeczą niesprawiedliwą, gdybyśmy w ciągu naszych kronik tygodniowych, poświęconych sprawom teatru w Polsce i u obcych, pominieli obojętnie zjawisko tak dodatnie i krzepiące, jak stały, widoczny rozwój najbliższej nam — sceny łódzkiej, prosperującej jak należy w sezonie bieżącym. Zapowiedzi obecnej dyrekcji, poczynione u progu sezonu, nie okazały się szczęśliwie złudą i mamiłdem, lecz są — jak widać to coraz lepiej — realnym kapitałem, z którego czerpie codzienną treść swej działalności teatr łódzki. Zaledwie dwa i pół miesiąca upłynęło od dnia inauguracyjnej uroczystości, a już strona czynna dotychczasowego rachunku teatralnego przedstawia się bardzo pokaźnie. „Książę Niezłomny“, „Dziady“, „Peer Gynt“, „Kredowe Koło“ — oto najważniejsze jej pozycje, nie mówiąc już o drobniejszych, a zasługujących również na uwagę. Niepowszednim ewenementem jest uruchomienie Teatru Kameralnego, co uważać należy bezwzględnie za objaw wzrostu zainteresowań teatralnych wśród biernej naogół publiczności łódzkiej, objaw, rokujący pomyślniejszą pod każdym względem dla teatru przyszłość. Co się zaś tyczy strony drugiej wspomnianego rachunku, to wspominać o niej, jak dotąd, prawie niema potrzeby. Bo jeśli nawet wśród różniaka repertuarowego trafi się zrzadka jakaś słabizna, jak na przykład — „Dar Peranka“, to i tę potrafi okupić talent i umiający wdzięk bohaterki komedji Forzana, p. Lubieńskiej. Aktorzy bez wzięć, pracują dzielnie i z zapętem; publiczność jest zadowolona i do teatru chodzi. Występy gościnne dozowane w miarę i racjonalnie, nie załamują przydatnej pracy stałego zespołu, lecz są mu w niej raczej pomocą i uzupełnieniem — stanowią jednocześnie artystyczną przynętę dla tej części publiczności, która, mniej odczuwając istotną potrzebę teatru, wzrost dla bon tonu przypomina sobie o jego istnieniu wówczas, gdy na afiszu czyta nazwiska Stepowskiego, Adwentowicza i Osterwy. Niezależnie od starannie przygotowywanych i zasłużonych sukcesów artystycznych, z zadowoleniem skomstatować należy ład i oszczędność w administracji, co, oczywiście, dla całości pracy teatralnej ma pierwszorzędne znaczenie. Tak więc koniunktury Teatru Miejskiego układają się bardzo pomyślnie i pozwalają żywić nadzieje, że do końca sezonu nie będzie gorzej. Zwyczajem tego jak najszybciej dyrektorowi Gortchowskiemu, który na dobre „uwziął się“ odbudować świetne tradycje sceny łódzkiej.

W walce z deficytami teatralnymi, będącymi dziś zjawiskiem tak niestetycznym, nowoczesnym na całej kuli ziemskiej, bardzo skutecznym środkiem zaradczym znaleźli zawsze praktyczni Niemcy. Oto w miastach niemieckich, z Berlinem na czele, powstają liczne związki „zwolenników teatru“, na których pomyslnie opierają swój byt finansowy miejscowe teatry. Te poszczególne związki łączą się nawet w powszechne organizacje i skupienia, i np. berliński „Verband der deutschen Volksbuehnenvereine“ liczy około 100,000 członków. Dzięki poparciu tych organizacji cały szereg przedstawień ma zgóry zapewnioną, zwykle bardzo pokaźną frekwencję. Organizacja bowiem zobowiązuje się do rozdzielania biletów, często z przymusem korzystania z nich, pomiędzy swych członków. Wzamiem za to teatry mogą stosować poważną zniżkę cen, tak, że organizacje „zwolenników teatru“ korzystają zazwyczaj z ulg, udostępniających teatr nawet najmniej zamożnym. Potężne poparcie, okazywane ze strony „zwolenników teatru“, nakłada na dyrekcje teatrów pewne rekompensacyjne zobowiązania, wyrażające się głównie w przystosowywaniu linii repertuarowej do potrzeb i życzeń zorganizowanej w związkach publiczności. Ponieważ jednak kierownictwo związków pozostaje w rękach światłych zarządów, zdających sobie sprawę ze znaczenia dobrego teatru i jego wychowawczych wpływów, przeto i współdziałanie — w imię obojmych interesów — pomiędzy dyrekcjami teatrów a związkami „zwolenników sceny“ wychodzi raczej na dobro sprawom sztuki teatralnej, w najszerszym tego pojęcia zakresie. Organizacje „zwolenników sceny“, będąc w dużym stopniu rekojmnią finansowej prosperacji teatrów niemieckich, stanowią jednocześnie potężne ośrodki propagandy teatralnej i wogóle kulturalnej, posiadające nietychajki wpływ na bieg spraw artystycznych w miastach Republiki Niemieckiej.

Dodać trzeba, że idea organizacji „zwolenników“ czy „przwiązciół teatru“ nie jest całkiem obca i w Polsce, i że niektóre nasze większe miasta tego rodzaju organizacje posiadają. Niestety jednak, wobec swej li-

Fot. A. Meyer.



Okręgowy zjazd prezydów gniazd sokolich w Łodzi. Na zdjęciu uczestnicy zjazdu z hr. Adamem Zamoyskim, prezesem Związku Sokolstwa Polskiego i wiceprezesem Związku Sokolstwa Słowiańskiego pośrodku.

czebnej szczupłości i niedostateczności środków materialnych, nie mogą one zazwyczaj odgrywać tej pożytecznej roli, jaką sobie zamierzyły i niejedni ich wysiłek pozostaje bez widocznych efektów.

Dobrzy nasi znajomi, sympatyczna para artystów, pp. Malicka i Węgierko, dali szereg występów gościnnych aż w Pradze czeskiej, popularyzując nad Wełtawą koncertowo grany dialog Nicodemiego: „Świt, dzień i noc“. Krytyka i publiczność czeska owacyjnie przyjęły grę naszych artystów, wyrażając się z wielkim uznaniem o ich talentach. Staraniem akademickiego klubu przyjaciół Polski odbył się również wieczór literacki z udziałem polskich artystów, na którym wypowiedzieli oni szereg utworów Wyspiańskiego, Kasprowicza, Tetmajera, Staffa i in.

Ogromny sukces odniósł w tych dniach w Berlinie śpiewak Jan Kiepura, który wystąpił w jednej z sal koncertowych, wspólnie ze słynnym Szallapinem oraz śpiewaczką Lottą Lehman. Głośne imiona i wielkie talenty współwykonawców programu nie zdołały przecież nic ująć z pełni powodzenia naszej młodej sławy śpiewaczki, przyjmowanej przez publiczność berlińską z wyjątkowym entuzjazmem.

Jednym z najczynniejszych ognisk życia teatralnego Hiszpanji jest stolica prowincji katalońskiej — Barcelona. W roku bieżącym ruch teatralny w Barcelonie ożywił się znacznie dzięki otwarciu dwóch teatrów, poświęconych wyłącznie twórczości pisarzy katalońskich, tworzących w miejscowym dialekcie. Teatr „Novetat“ wystawił dwie nowości, z udziałem znakomitej aktorki hiszpańskiej Józefiny Tapies — „Studenta z Vich“, ludową sztukę J. M. Sagarry oraz trzyaktową komedię A. Artisa p. t.: „Pięć zmysłów“.

Dyrekcja drugiego z nowo-otwartych



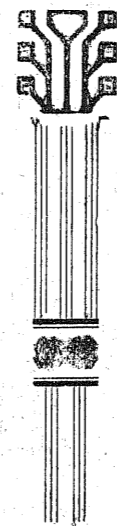
Uczestnicy kwalifikacyjnych zawodów atletycznych w Łodzi na Olimpiadę w Amsterdamie z arbitrem prezesem p. Dreslerem na czele.



Towarzystwo Śpiewacze „Jutrznia“ przy kościele św. Anny w Łodzi. Fot. A. Meyer.



Artysta Teatru Miejskiego p. Kijowski w roli Odlewacza guzików w „Peer Gyntie“.



Oddział policji powiatu łaskiego w dniu święta policyjnego w Łasku. Na zdjęciu starosta łaski, p. J. Wallas (+), komendant P. P., p. J. Kierowski (++) i starszy posterunkowy Fr. Pawlicki (+++) z psami policyjnymi „Wisła“ i „Titina“.

teatrów spoczywa w rękach tragiczki Marji Vila i znakomitego odtwórcy ról bohaterkich Piusa Davi. W najbliższym czasie teatr ten wystawia sztukę Julia Vallmitjana'y, który w swej twórczości scenicznej posługuje się chętnie motywami z życia cyganów hiszpańskich (Gitanos) doskonale mu znanego. W utworach swoich („La caravane perduta“, „Zincalos“, „Sota Montjuic“) Vallmitjana maluje zwyczaje i obyczaje, życie i namiętności prastarego szczepu koczowniczego, posiadającego w swej ruchliwej egzystencji tyle swoistego, barwnego kolorytu. Utwory Vallmitjana'y, nie mając pretensji do wyższej rangi dzieł o znaczeniu światowym, stanowią jednak widowiska ludowe o poważnej wartości artystycznej i są pięknym świadectwem żywotności lokalnej literatury katalońskiej.

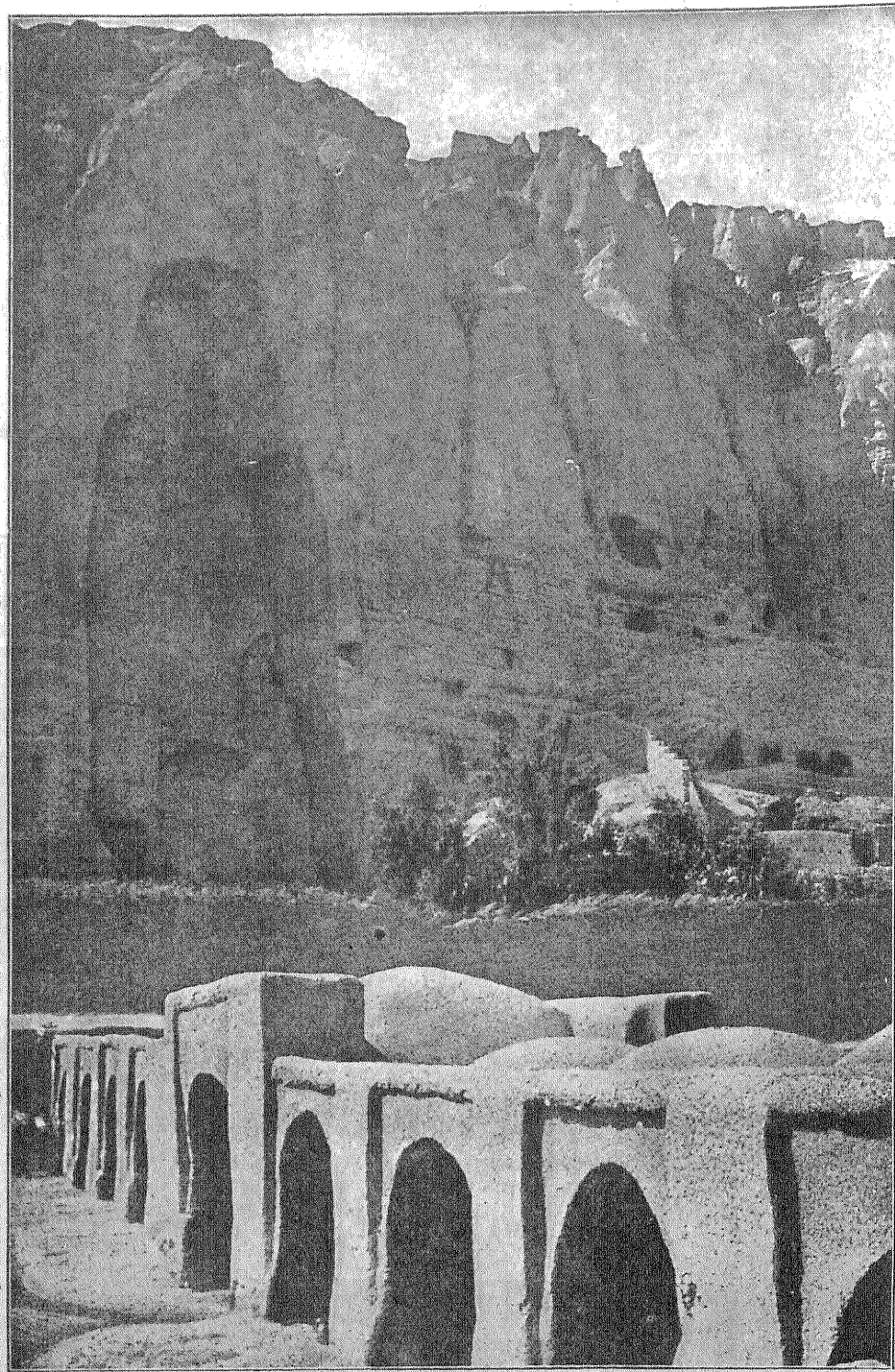
Ten regionalny ruch teatralny hiszpański znalazł swój wyraz również w organizacji retrospektywnej wystawy prac malarza scenicznego Soler y Roviro'sa'y, o którego twórczości znakomita prelekcję wygłosił madrycki historyk sztuki prof. Jose Francos.



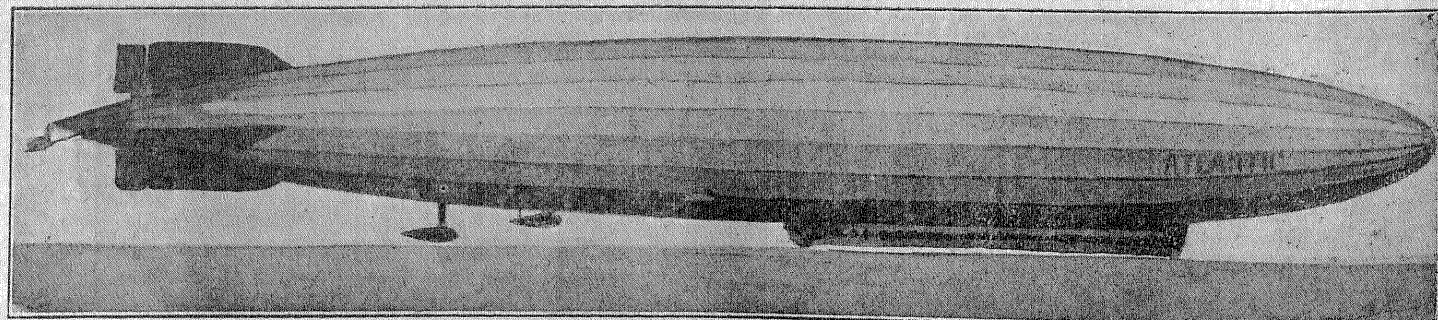
Pierwszy kurs instruktorski kapelanów harcerskich w lasach łękańskich pod Radomskiem. Na zdjęciu grupa uczestników z naczelnym kapelanem Harcerstwa ks. Bogdańskim, kapelanem oddziału łódzkiego, ks. St. Nowickim i sekretarzem generalnym Harcerstwa, p. Sedlaczkiem na czele.



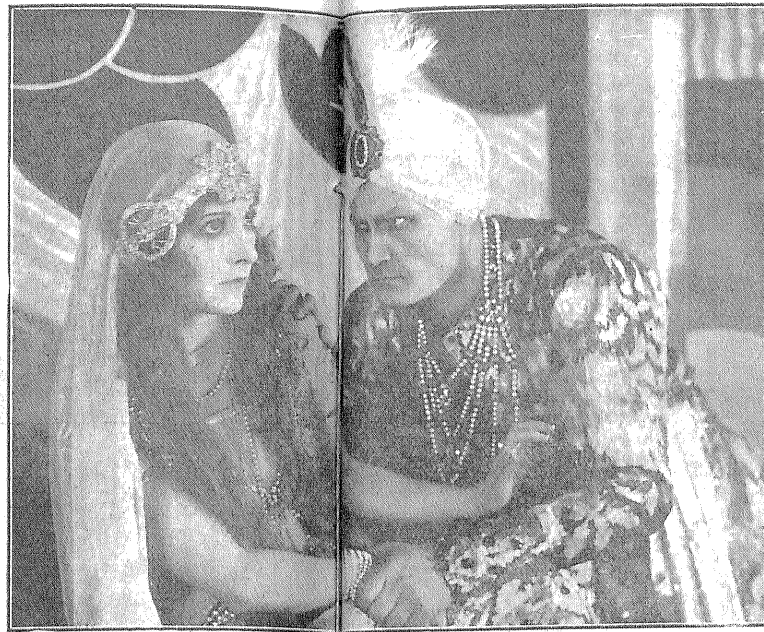




Ulica Buddy, prowadząca z Kabuł do Turkiestanu, u stóp Hindukuszu.



Największy statek powietrzny świata „Atlantic”.



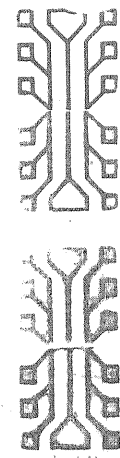
Zaszczytnie znany artysta filmowy Bernard Goetzke, w roli indyjskiego maharadży w obrazie p. „Romans kapłanki Wschodu”.



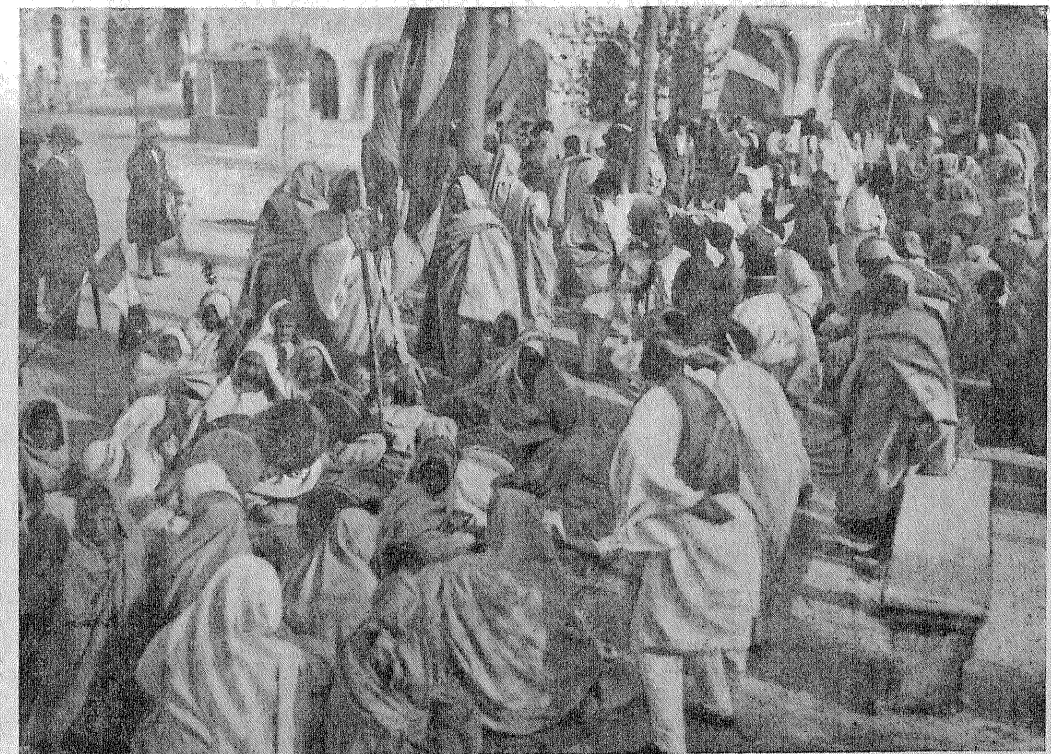
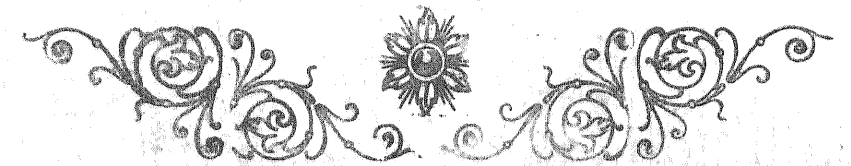
Polski Valentino, Julian Igo Sym, w nowej roli w filmie „Café Electric”, wytwórni „Saschy”.



Ostatnia kreacja Lyi Mary w roli tancerki sultana



Las palmowy w Miami



Jedna z najruchliwszych ulic Marokka.





Seson hockeyowy na lodzie w pełni. Na zdjęciu klub wiedeński z mistrzem świata w łyżwiarstwie, p. Szabo.



Staszek-Polankowa, wschodząca gwiazda narciarstwa polskiego



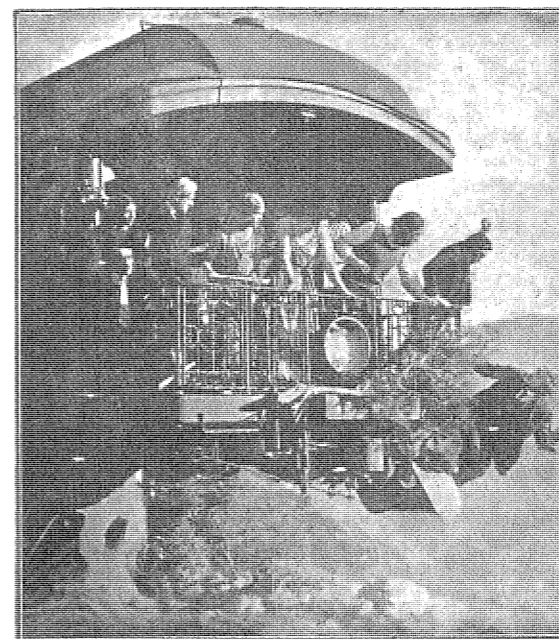
Sport saneczkowy w Zakopanem na wilczkach.



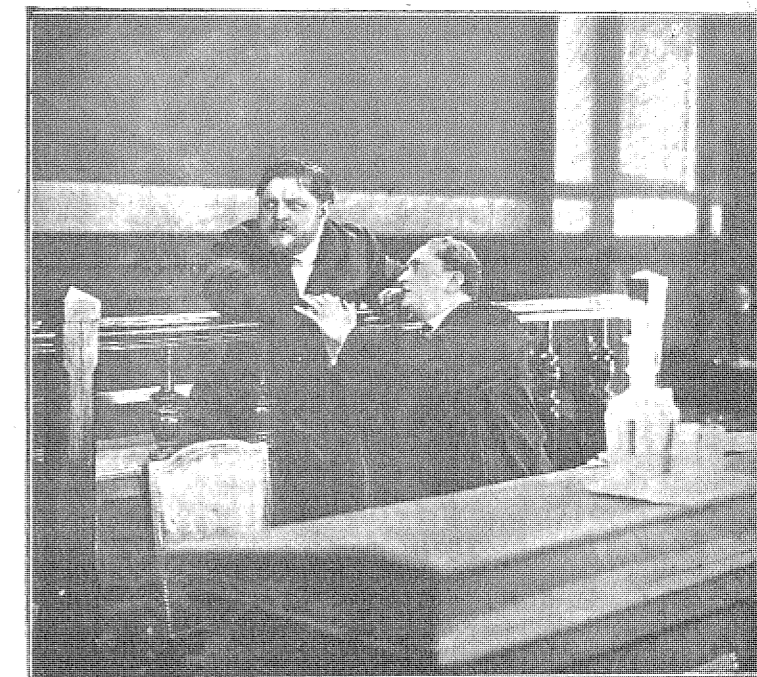
Patrole wojskowe na śniegach Zakopanego.



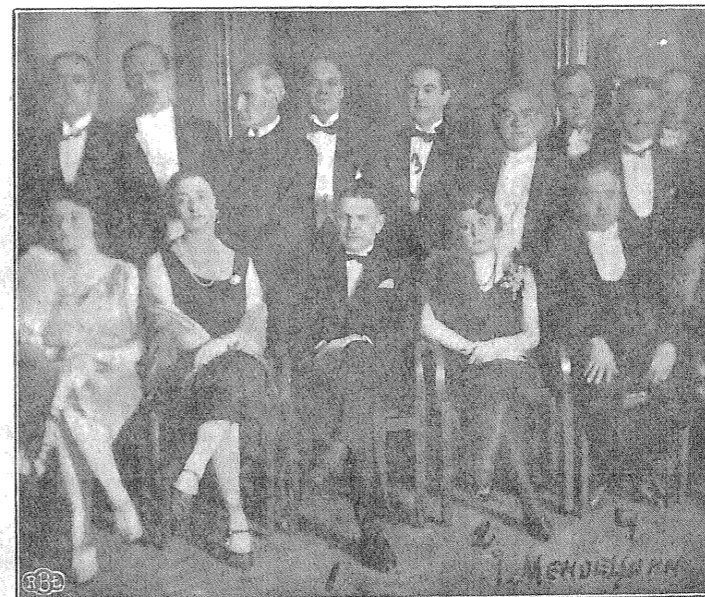
Halina Konopacka, lekko-atletka światowej sławy, uprawia narciarstwo.



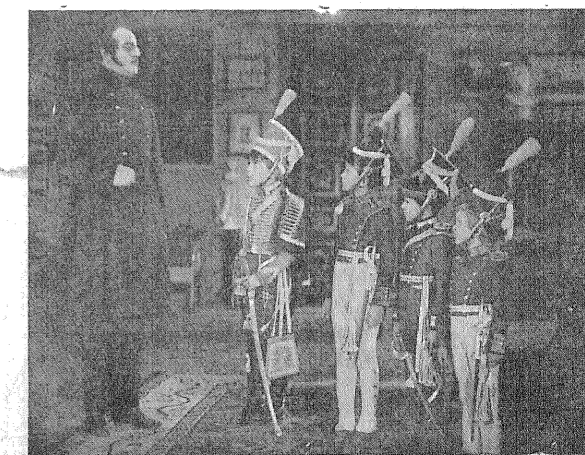
Fragment 10-aktowego filmu wyświetlanego w kinoteatrze „Czary” w Łodzi p. n. „Czerwone Światło”.



Najnowsza rewelacja europejskiej kinematografji — film p. t. „Bigamja”. Na zdjęciu scena sądowa obrazu z udziałem Henry George'a, rywalem Janningsa.



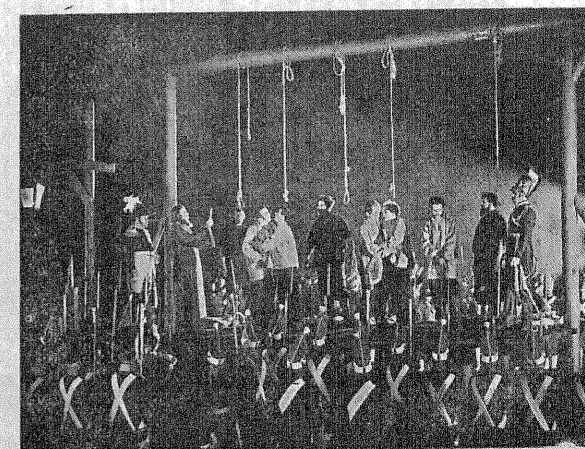
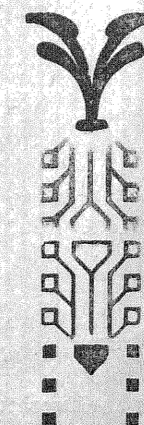
Uroczysty wieczór kolonji polskiej w Wiedniu, w dniu 11 listopada r. b. Na zdjęciu 1) poseł Karol Bader wraz z małżonką (2), światowej sławy śpiewak polski, Jan Kiepura (3) oraz kompozytor Różycki (4).



„Dekabryści” w kino-teatrze „Splendid” w Łodzi.



Krzyżowa Skala w Ojcowie.



Fragment z potężnego filmu p. n. „Dekabryści” według powieści D. Mereżkowskiego.



## Dwaj ułomni.

Wolno włókił się po ulicy, utykając na nogę. Wzdłuż muru, gdzie sami biedacy mieszkali; gdzie dachów można było ręką dosięgnąć. Okna znajdowały się tak nisko, że mimo wieczornego półmroku widać było, czy jest kto w mieszkaniu, czy nie.

Wszędzie prawie kobiety, siedząc u okna, zwiły nici.

— Biedna hałastrza — mruknął do siebie, przyglądając się własnym swoim lachmanom, odbijającym się w szybach okiennych.

Tu dostałby garnuszek nieświeżej kawy z kawałkiem chleba co najwyżej. Ale żołądek jego miał już dość tej strawy!

Trzeba się o coś lepszego wystarać. Tylko o co? Co można zwędzić w tem gnieździe fabrycznym? Wille fabrykanów po drugiej stronie ulicy były ogrodzone i przez dobre psy strzeżone. A ci niedzarze — sami zaledwie są syci. Wystarczy na domy spojrzeć! Bez gruntowania, raz tylko otynkowane — przed laty. Tynk już się kruszy.

Przy zakreście muru zatrzymał się. Przed domem na jasny kolor olejną farbą pomalowanym. Drzwi błyszcząły mosiężnymi okuciami. Nad jednym z okien wisiał szyld: „Franciszek Knoblich, krawiec“.

Może ma jakieś stare ubranie. Albo — może się uda nowe ściągnąć.

Długoręki — tak go w gronie zaufanych przezywano — znał się na rzeczy. Umiał naprzykład klamkę od drzwi tak nacisnąć, że nikt nie mógł jego wejścia i wyjścia usłyszeć.

Szybkim rzutem oka przekonał się, iż nie był widziany: dzieci bowiem bawiły się na końcu ulicy, w przedpokoju zaś krawcownika narazie nie było, a tam właśnie leżały zawsze nowe, świeżo wykończone roboty.

Wsunął się do sieni, na palcach podszedł do drzwi i namacał klamkę.

Co będzie, jeżeli drzwi są na klucz zamknięte? Eh! Bywają zwykle otwarte w małych mieścinach. Tak jest! Może się zakraść. Pst... zawiąsy skrzypnęły. Nasłuchuje. Cisza w domu. Żadnego głosu, brzęku, dźwięku... aż straszno!

Długoręki wślizgnął się do przedpokoju i posunął ku białym drzwiom, wiodącym do sąsiedniej izby. Nikogo tam nie słysząc, aż się włóczęga dziwi!

Pewną ręką naciska klamkę i drzwi otwiera. Jeżeli ktoś jest w izbie — poprosi o jałmużnę. Lecz pokój był pusty. Nikt nie siedział ani na sofie, ani przy piecu, ani na stole krawieckim przy oknie.

Mały, garbaty złodziej odważnym i zdecydowanym krokiem podszedł do wieszadeł przy ścianie i począł ściągać z nich garnitury.

— Morowe sukno — mruknął pod nosem zadowolony.

Z całą swobodą zdjął swój kaftan i przyodział się w jedną z marynarek. Za szeroka była i za długa dla niego. Wyglądał w niej, jak strasznydło na wróble.

Już chciał odejść: Ale nie mógł wzroku od innych ubrań oderwać. Ma je zostawić?

Ślina mu do ust napłynęła, jak smakoszowi na widok apetycznych potraw.

Nagle jął wciągać na siebie garnitur za garniturem. Drugi — trzeci — czwarty — piąty.

Ten był najciaśniejszy. Przemocą się weń wcisnął. Ale napróżno starał się cztery grube rękawy, które już miał na ręku, w wąskie rury piątego tużurka wsunąć. Szamotał się z nimi, stękał, wzdychał nadaremnie. Nie wchodzi i kwita!

Na Boga! Taki ładny tużurek! Nie może go przecież zostawić! Wtem ktoś parsknął głośnym śmiechem w przedpokoju.

Złodziej wystraszony znieruchomiał w nawpół wciągniętym tużurku; patrząc przez otwarte drzwi na siedzącego na krześle i niemogącego powstrzymać się od śmiechu mężczyznę.

Kołysał się górną połową ciała naprzód i w tył, zanosząc się od śmiechu.

Gdyby się gniewał, wymyślał, Długoręki rzuciłby się nań i utworzył sobie drogę do wyjścia.

Ale ten szalony śmiech zbił go z tropu.

Strasznie zmieszany zapytał nieśmiało: — Ja... ja mogę przecież ubrania przymierzać?

— Ależ tak, tak! Przymierzaj pan. Żadne nie jest dla pana dobre. Nic to jednak nie szkodzi. Wkładaj pan je na siebie. — Dlaczego nie mam biednemu złodziejaskowi zrobić przyjemności?

I znowu śmieje się do rozpuku.

Mały lotr strwożony ściąga ze siebie ciasny tużurek.

Co u diabła? Krawiec cieszy się z tego, że go okradają? Czy aby mu nie brak jakiej klepki w głowie?

Strach go przejmując.

Krawiec tymczasem wstał z krzesła i zbliża się do garbusa. Bez szelestu sunie w swych starych trepcach, powłócząc tak, jak Długoręki, lewą nogą.

Był to mały, dobrze upasiony człowieczek z rudymi szczeżoiowatymi włosami.

Stanąwszy przed złodziejem, trącił go sztywnym palcem w pierś, pytając poważnie i tajemniczo:

— Wiesz-że ty, kogo masz przed sobą? Złodziej skinął głową, milcząc.

Pan Knoblich znowu się roześmiał i powtórzył pytanie:

— Jeszcze nie wiesz?

Mały ulicznik spojrział krawcowi w twarz z głupkowatym uśmiechem na ustach.

Czyżby zwarjował zleczyzna? — myślał w duchu.

Pan Knoblich tymczasem, bijąc się pięścią w pierś, mówił z promienną twarzą:

— Główną wygraną wygrałem!... Tak jest! Główną wygraną!... Zrozumiałeś? Co? Zatrzymaj-że sobie teraz garnitur. Niech mi ten kram z oczu zniknie! Teraz cała krawieczyzna w kąć pójdzie! Teraz życia użyję!

Długoręki nie wiedział, czy ma powiedzieć „Bóg zapłać!.. i uciekać co prędzej.

— Dlaczego nie masz trochę mojego szczęścia uszczknąć?... Niech inni ludzie też coś zyskają. Stój! — zawołał do zamierzającego umknąć złodzieja. — Masz tu na rozgrzewkę.

Wydobył z mahoniowej szafy butelkę z wódką i dwie małe szklaneczki.

— Na zdrowie! — rzekł.

Trącając się kieliszkiem złodziej zauważył, że pan Knoblich musiał już przedtem do butelki z wódką zaglądać.

Krawiec tymczasem rozgadał się na dobre. Opowiadał, że od dwudziestu lat pracował ciężko, ażeby na starość grosza trochę uclufać. Ale napróżno. Aż dał się na kupno losu namówić. Wszyscy dotychczas za nic go mieli, szydząc z jego oszczędności i starokawalerstwa. Teraz zaś zazdroszczą mu i płaszcą się przed nim.

Podczas opowiadania — butelkę wypróżniono. Obaj ułomni rozmawiali, jak dawni, starzy znajomi. Śmiejąc się i płacząc, dziwowali się, że życie jest tak ciężkie.

Wziąwszy się pod rękę, wyszli razem na ulicę. Okradziony i złodziej.

Pan Knoblich zaprosił Długorękiego na szklaneczkę piwa. Taki dzień trzeba przecież oblać.

Po kilku godzinach złodziej zupełnie pijanego krawca troskliwie zaprowadził do domu, położył go do łóżka, pozamykał wszystkie drzwi i jak brat czuwał nad nim robiąc mu okłady z zimnej wody na głowę.

Kiedy nazajutrz odejść zamierzał, krawiec go nie puścił.

— Jesteś... jesteś pierwszym pocztowym człowiekiem, którego spotkałem w życiu. Jak brat rodzony postąpiłeś ze mną. Jeżeli chcesz — w moim domu dość miejsca dla nas dwóch.

Od tej pory w małym schludnym domku mieszkają razem dwaj ułomni.

Tłum. Jotsaw.



Rok IV.

Łódź, dnia 11 grudnia 1927 roku.

№ 50.

## Sztuka polska w Łodzi.



W dniu 6 b. m. w salonach Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi odbyło się uroczyste otwarcie nowej wystawy, na którą złożyły się między innymi również i prace zbiorowe artysty-malarza W. Skoczylasa. Na zdjęciu powyższem widzimy jeden z obrazów W. Skoczylasa p. n. „Żebracy“